

Rozdział dziewiąty

Biały jacht miarowo się kołysał, łagodnie się poddając uderzeniom regularnie napływających fal, a rozleniwiony Andres wystawiał do słońca pokryte opalenizną ciało. Jak długi leżał na pokładzie. Kapryśny los mu sprzyjał, bo szczęśliwym trafem znalazł się na środku rozległego Pacyfiku. I to gdzie? Na najbardziej czarownym skrawku lądu. Rozplomienione dziewczyny i złote plaże były warte każdej ceny. Czy można było sobie wyobrazić wspanialsze wakacje? Księżyc nad osławioną Tahiti! Błądził apatycznie myślami po rysującej się w oddali Moorea. Nie byłby sobą, gdyby i tam nie wsadził nosa. Wymoszczony liśćmi tarua kamienny stół oferował delicje. Kosztował przyrządzonych z dużym smakiem ananasów, owoców mango, papaja, awokado i guanabana. Z zatoki Vaiare życzliwi szwedzcy turyści zabrali go na *Le Belvédère*, skąd rozciągał się wspaniały widok na dwie największe zatoki, Opunohu i Co-oka, rozdzielone malowniczym szczytem Rotui. W głąb wyspy można się było dostać tylko jeepem — ze względu na wyboiste i pocięte szerokimi potokami drogi. Mimo karkołomnej jazdy mógł podziwiać plantacje ananasów i kawy. Cieszyły go niepospolicie piękne kwiaty, dorodne paprocie i soczysta zieleń stoków górskich. Czuł ten jedyny i niepowtarzalny zapach tropikalnej dżungli.

Stukot o lewą burtę wyrwał go z rozkosznego półsnu. Po krótkiej chwili łomot się powtórzył, a chłopak uznał, że przyzwoitość każe mu się podnieść i sprawdzić, co dzieje się w wodzie. Musiał uważać, bo ta luksusowa łajba była warta kupę szmalu. A poza tym nie należała do niego. Przyszło mu do głowy, że trafił na zagubioną boję lub deskę do surfingu. Ludzie wrzucali do wody byle co, nie martwiąc się o to, co się potem stanie. Jednego był pewny. W tym miejscu nie było koralowca.

— Kapitanie, rusz pan dupsko! — ospale pogonił samego siebie.

Po przejściu przez wyłom w rafie, okalającej Tahiti zakotwił jacht nieco na północ od morskiej trasy na Moorea, nie oddalając się wszakże zanadto od wyspy, a wiejący z prędkością 16 węzłów pasat spychał go na pełne morze. Nie groziło mu, że się na coś nadzieje.

— Co tam?! — prychnął, przechylając się przez barierkę. — Nie biorę nikogo stopem...

To nie była boja ani deska surfingowa. Unoszący się na wodzie przedmiot przypominał raczej dużą pękatą butlę, rodzaj antałka lub gąsiora na wino. Poprzedniego dnia nad portem Papeete przeszły dwa deszczowe szkwały, więc pewnie coś ze sobą przyniosły.

— He, ten Pacyfik to niezły śmietnik! — z błyskiem w oku zawyrokował.

Przypadkowe znalezisko od razu pobudziło jego wyobraźnię. Skojarzył je sobie ze skarbami dawnych piratów, którzy na tych morzach z powodzeniem uprawiali znieawidzone przez żeglarzy rzemiosło. Migiem skoczył po ukrytą pod pokładem dużą siatkę na ryby, potem zanurzył ją ostrożnie w wodzie i przechylając się oburącz wyciągnął na jacht zdobycz.

— *Frutti di mare?* — wymamrotał z dreszczem emocji w głosie. — Do diaska, ale mam fart. Szczęście mnie nie omija, najpierw ta łódź, teraz to...

Delikatnie ustawił butlę na pokładzie, obrywając z niej wodorostry i dziwiąc się, że wykonana z grubego szkła czasza wytrzymała lata konfrontacji z południowymi żywiołami. Była to niewątpliwie jakaś starość. Może miała ze sto lub z dwieście lat? Otwór dokładnie zabito korkiem, a przez ciemnozielony klosz nie było widać, co jest w środku. Sądząc jednak po wadze, znalezisko nie było puste. Oczyma wyobraźni ujrzał siebie z miną konesera degustującego stare wino, które zamieniło się już w uderzającą do głowy galaretę. Jeżeli przecucie go nie myliło, mógł liczyć na wielkie pijaństwo. A jeśli butla kryła złote monety lub cenną biżuterię? Zmysł praktyczny, którego mu nigdy nie brakowało, kazał mu natychmiast wymienić zawartość antałka na szeleszczące dolary.

— Sezamie, otwórz się! — pewny swego rozkazał, a potem nieufnie rozejrzał się dokoła. Nie był podejrzliwy, jednak przez

chwilę męczyła go myśl, że jakiś cwaniak podrzucił mu ten gąsior-
rek, a teraz śmieje się w kułak. Nic śmierzącego jednak się nie
szykowało. Na południu znaczyła się sporawa łódź zagłowa, zaś na
zachodzie majaczył jacht podobny do tego, na którym sam zagościł.
Nikt tam dociekliwie nie wystawał z lornetką i nie filował. Inne łaj-
by unosiły się dużo dalej. Jednak odruchowo założył rzucone obok
szorty.

Obejrzał poczerwiałą korek, zdrapując paznokciem warstwę
szlamu. Wywnioskował, że poradzi sobie przy pomocy kuchennego
korkociągu i w tym celu zbiegł po schodkach pod pokład. Obdarzo-
na seksapilem Francuzka, od której pożyczył jacht, utrzymywała na
nim pedantyczny porządek. Był zdumiony, że zawierzyła mu na
słowo tej klasy pływające cacko, ale wziął to na karb swej zbijającej
z nóg męskiej urody. Był zabójczym przystojniakiem i szybko wpa-
dał w oczy kobietom. Pozostawiła mu gratis jacht do wieczora, tłum-
macząc, że ma coś pilnego do załatwienia w głębi wyspy, więc nie
wahał się ani chwili. Miała odlecieć śmigłowcem.

Korkociąg z łatwością wgryzł się w korek, gorzej jednak było
z jego wyciągnięciem. Trochę się uszarpał, ale heroicznie postano-
wił, że się nie podda.

— Co za szajs — mruknął zawzięcie. — Cholera, rozpieprzę to
diabelstwo — warknął podniecony.

Niebiosa mu sprzyjały. Przy kolejnym mocnym szarpnięciu ko-
rek jakimś cudem wysunął się do połowy i chłopak się domyślił, że
w rozkołysanym antałku podniosło się ciśnienie. W kilka chwil
później zatyczka sama wystrzeliła z hukiem jak z butelki szampana,
poleciała szerokim łukiem i wpadła do wody.

— Ufff! Gotowe! — wycedził z miną zwycięzcy. Nie znosił,
gdy martwe rzeczy stawiały mu opór. Przysiadł na pokładzie i otarł
ręką pot z czoła. Potem skupił całą uwagę na zdobyczy.

Z otworu wydobywał się delikatny opar i chłopak przeraził się,
że to ulatnia się gaz trujący. Może znalezisko pochodziło z czasów
drugiej wojny światowej? Pociągnął nosem, ale niczego nie poczuł,
żadnych oznak fabrycznych wyziewów lub zgnilizny. Wykoncypowa-
wał, że powinien butlę przechylić, lecz nie zdążył się do tego za-
brać. Ni stąd ni zowąd bowiem głośno huknęło i z ciemnozielonego

antalka poszedł ostro w górę gęsty strumień smolistego dymu.

— O, w mordę, tylko nie to... — wybełkotał, nie na żarty przeżarty i odruchowo odsunął się od gąsiora. Pojął, że niezdrowa ciekawość okazała się pierwszym krokiem do piekła.

Demoniczny dym wydawał się żyć własnym organicznym życiem. Nieustępliwie powracał na pokład, nie poddając się podmuchom pasatu, ani nie rozptylując się w powietrzu. Rozkładał się po deskach jachtu, skupiając się w wybranych miejscach. Wkrótce też zarysowały się tam blade kształty czterech absurdalnych postaci. Te przypominały najpierw lekką, drżącą mgiełkę, lecz potem nabrały wyrazistości i barwy. A tracąc pierwotną przeźroczystość, coraz bardziej się urealniali i ziszczały.

Struchlały Andres cofnął się jeszcze bardziej, nadziewając się na barierkę. Wybałuszył przerażone oczy. Dalej nie mógł uciec. Żałował, że nie miał na sobie sprzętu do nurkowania, bo dałby dyla do wody.

— Tupapau — szepnął z nabożnym lękiem. Znalazł się w straszliwym potrzasku i nie mógł przeboleć, że głupkowato wydobyl butlę z morza. Gościł na Tahiti, a tu w starych bogów jeszcze wszyscy wierzyli. Dusze umarłych były uwięzione w kamiennych głazach i nie należało ich lekkomyślnie uwalniać. Licho nie spało. W nocy w większości tahitańskich domów błyskało światelko, które je ponoć skutecznie odstraszało.

Ucieleśniony demon, który usytuował się najbliżej chłopaka, poruszył się, dowodząc, że nie zamierza być postacią z gabinetu figur woskowych i obrzucił młokosa mało życzliwym taksującym spojrzeniem. Przypadła mu w udziale postać faceta po trzydziestce. Prezentował się zadziwiająco współcześnie — w przeciwieństwie do pozostałych zjaw. Młoda kobieta paradowała w stroju z epoki francuskiego baroku i wydawać by się mogło, że diabelskie moce przyznały ją gdzieś z siedemnastego wieku. Ci, stojący na rufie, kjarzyli się natomiast z odległą starożytnością. Andres w Barcelonie studiował historię sztuki i przeszło mu raptem przez głowę, że tak zwariowanej tahitańskiej sceny nawet osławiony Paul Gauguin by nie namalował. Czy to, co widział, naprawdę się działo? Nogi pod nim zmiękły i stoczył się lekliwie po schodkach na dół. Przeszyła go

trwożna myśl, że butla zawierała środki halucynogenne. Może ukryto w niej narkotyki? A może natrafił na zatopioną broń chemiczną? Wylądował w kuchence, trzęsącą się ręką odkładając korkociąg. W rozbiegane oczy wpadła mu wisząca przy schodkach raca sygnalizacyjna. Złapał ją bez namysłu i w te pędy wyskoczył na pokład. Wycelował i wypalił.

Opartą o barierkę młodą kobietę wygięło nagle do tyłu — jednak nie wypadła za burtę, a odkształcone pod wpływem strzału ciało prawie natychmiast odzyskało utracone kształty. Czy miała kręgosłup z gumy? Wyprostowała się, złowrogo zwracając się w jego stronę. Spalił jej przód gorsetu i stanika.

— Do diabła! — jęknął, czując, że za chwilę narobi w gacie. Przeholował, ale było za późno, żeby to zmienić.

Wiedźma z ciemnej butli rozjuszyła się jak byk na corridzie i wściekła się do ostatnich granic.

— Ty dupku! — zjadliwie warknęła, a z jej złych jarzących się czerwonym światłem oczu trysnął strumień gorącej plazmy. Cztery świszczące pociski niby ogary dopadły jego rąk i nóg, z ogromną siłą przyszpilając go do nadbudówki.

— Jest tu radio?!

Obcy, który go o to zapytał, nic sobie nie robił z tej potyczki. Wydawała mu się pewnie co najwyżej warta przypadkowego ziewnięcia. Ot, śmiertelnik podskoczył jednemu z bogów Olimpu! Beznamiętnie spoglądał na ukrzyżowanego chłopaka, z rękami w kieszeniach czekając na odpowiedź.

— Jest... — Andresowi przeszło to z trudem przez gardło. — Na dole... — wycharczał, a oczy omal nie wyszły mu z orbit.

Współcześnie odziany dżin skrył się bez pośpiechu pod pokładem jachtu, leniwie pogwizdując pod nosem. Dwaj przybysze ze starożytności ulokowali się na dziobie, zajęci cichą rozmową. Tylko barokowa wiedźma pozostała przy uwięzionym chłopaku, przyglądając mu się z niegasnącą uwagą. W jej ciemnych oczach pojawiły się dziwne erotyczne błyski. „Boże, tylko nie to!” — jęknął w duchu z prawdziwą rozpaczą. Spłoszyła go myśl, że tamta nabrała chorobliwej ochoty, żeby zgnieść go w namiętnych uściskach i wysssać z jękiem rozkoszy, a krwawe szczątki wyrzucić za burtę.

— Nie jest... pani... ranna? — przemógł się, asekurując się ostrożnym pytaniem. Liczył na to, że znajdzie się w odrobinę lepszym położeniu. Z wyposażonymi w nadprzyrodzone moce niby-terrorystami nie należało zadzierać. O dziwo, obcy rozumieli angielski i posługiwali się nim tak, jakby faktycznie mieli więcej wspólnego z realnym światem niż z powieściami *science fiction* lub *fantasy*. A to się nie mieściło w głowie.

Chyba złość jej przeszła, bowiem łagodnie uśmiechnęła się do niego i dotknęła jego czoła delikatną ludzką dłonią. Drgnął z przestachem, ale nic złego się nie stało. Poczul, że przez jego ciało przepływa strumień ciepła, a pod jego wpływem natychmiast odprężył się i uspokoił. Więzy nagle puściły.

— Nic mi nie jest — odpowiedziała. — I tobie nic się nie stanie, jeżeli nie będziesz nam wchodzić w drogę. Nie zachowuj się, młodzianie, irracjonalnie. To nie jest to, o czym myślisz.

Przysiadł, masując sobie nadgarstki. Niczego nie rozumiał, ale wiedział, że nie należy podejmować żadnych pochopnych działań. Przekonał się przecież na własnej skórze, że w starciu z obcymi nie ma szans. Obejrzała go jeszcze raz tak, jakby chciała mu przypiąć szpadę i założyć na głowę kapelusz z pękiem strusich piór, a potem dała mu spokój.

Zaczęła się ciekawie rozglądać. Z zainteresowaniem przystawała przed wszystkim, co znajdowało się na pokładzie, z uwagą studiując kształty każdej części ekwipunku i zachowując się tak, jakby to wszystko widziała po raz pierwszy w życiu. A może faktycznie tak było? Wreszcie zatrzymała się jak wryta przy kole ratunkowym. Ujęła je w ręce i ze wzburzeniem odczytała wymalowaną na nim nazwę jachtu. Jej brwi powędrowały wysoko.

— Sylvie? Cóż dziwnego w imieniu Sylvie? — niedomyślnie szepnęła Andres.

Tamta wkurzyła się tak, jakby znowu wypalił do niej z raketnicy. Aż podskoczył z wrażenia. Jej krzyk poderwał trzech mężczyzn, którzy bezzwłocznie do niej podbiegli. Niepohamowana wymiana zdań w niezemskim języku trwała dobrą minutę, a może dwie. Wreszcie obcy ucichli.

Egipcjanin i ten drugi, kojarzący się z Helladą lub Rzymem,

zasiedli znowu po turecku na deskach. Przestały już bawić madonnę szczegóły pokładu i nadbudówki, więc z kolei zajęła się tym, co działo się na morzu. Pogoda była jak wymaluj, zaś przejrzystego błękitu nie plamiły żadne obłoki. Wsparta o barierkę, przyglądała się z zachwytem motorówce, która z jazgotem pruła fale, rwąc w stronę basenu portowego w Papeete.

— Mów mi: Yves — mężczyzna, który spędził kilka chwil pod pokładem, wyciągnął dłoń w stronę chłopaka. Uścisk miał przyjacielski i mocny. — A ty? Jak masz na imię?

Andres z rezygnacją się przedstawił. Powiedział, co robi i skąd przyплыł. Pozwolił się prześwietlić, bo nie widział powodu, by cokolwiek ukrywać przed obcymi. Zresztą, nie miał niczego do ukrycia.

— A ta łajba, na której się znaleźliśmy? Jest twoja?

Ani chwili nie wahał się nad odpowiedzią. Wyobraził sobie, że wbijają mu bambusowe drzazgi pod paznokcie i odeszła go ochota na anse. Bezpieczniej było nie podskakiwać i okazać gotowość do współpracy.

— Nie moja — usprawiedliwił się w te pędy. — Właścicielkę łodzi spotkałem przed dwoma dniami. To Francuzka — starał się, by to, co mówił, brzmiało przekonująco. — Stwarzała wrażenie babki przy kasie i wyglądała na taką, która może sobie na wszystko pozwolić. Przypadkowa znajomość — wzruszył wzgardliwie ramionami. — W przyływie dobrego humoru pożyczyła mi tę skorupę. Wieczorem mam ją oddać — zaznaczył z ponurą miną.

Yves był zadowolony z tej odpowiedzi. Chłopak nie kłamał. Kiwnął głową z uznaniem i poprosił, żeby mu Andres dokładnie opisał ową bogatą nieznaną. Włosy, kolor oczu, wzrost i tym podobne. Kiedy student i z tym się uporał, neogeneranin skrył się znowu pod pokładem, wynurzając się stamtąd z telefonem komórkowym w rękę.

— Czy przy pomocy tego maleństwa — pokazał na aparat — mogę się z nią skontaktować?

Chłopak był rozgarnięty i znał numer do hotelu, w którym zatrzymała się seksowna Francuzka. Może z cicha liczył na to, że spędzi z nią upojną noc? Wygrzebał pobrudzony kartelusik z tylnej kie-

szeni szortów. Wystukał szereg cyfr i podał obcemu komórkę.

Trzymający telefon przy uchu Yves zapytał go jeszcze z głupiafrant:

— A, jeszcze chodzi o... Jeśli się nie mylę, dziś mamy siedemnastego czerwca 1998 roku?

Andres nie mógł zaprzeczyć, gdyż data się zgadzała. Wszystko: dzień, miesiąc, rok. Przeszył go nagle zimny dreszcz. Skupił myśli i wywnioskował, że ta przecząca prawom natury zwariowana czwórka, która dziwnym trafiła na jego jacht, chyba jak jakaś zaraza przywlokła się z kosmosu. Może na dnie Pacyfiku niepostrzeżenie ulokowała się wrogo nastawiona cywilizacja, zamierzająca zetrzeć gatunek ludzki z powierzchni ziemi?

Odchrząknął i lękliwie zapytał:

— Czy jesteście... ludźmi?

— I tak, i nie. Zresztą jakie to ma znaczenie — usłyszał oschłą, wymijającą odpowiedź.

W Papeete, w hotelu, recepcjonista odebrał telefon, łącząc rozmówcę ze wskazanym apartamentem. Yves zaczął po francusku dobierać się do skóry właścicielce łodzi, która wcale nie odleciała śmigłowcem w głąb wyspy. Z początku był chłodny i co rusz się czemuś dziwił, potem zaś już nie szczędził jej topornych uwag, a wreszcie soczystych przekleństw. Gdy rozmowa się urwała, Erw półgłosem podzielił się z pozostałymi derwiszami tym, czego się dowiedział. A kiedy i to miał już za sobą, znowu przykleił się do młokosa. Obejrzał go sobie jeszcze raz od stóp do głów, a następnie kazał mu włączyć silnik i skierować jacht ku portowi.

W pół godziny później po dziwnym wyglądzie obcych nie zostało śladu. Pewna siebie Festa buszowała pod pokładem i w rzeczach Sylvie znalazła coś odpowiedniego dla siebie. Założyła krótką spódniczkę, sandaiki i podkreślający jej kształty obcisły podkoszulek. Dla pozostałych też coś wybrała. Bez żenady przepokopała dzin-sową torbę podrózną Andresa, pożyczając od niego bez pytania dwie pary kolorowych szortów i bawełniane bluzy. Gdy wyszła na górę, poczuła się zakłopotana. W Paryżu Ludwika XIII nie wolno by jej było tak pokazać się na ulicy.

Wszyscy faceci, łącznie z młodzieńkiem Andresem, zamarli

z wrażenia, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Była przecież tak ładna jak tamta dziewczka z karczmy przy drodze do Dijon. Zagryzła wargi, pojmując, że działa na ich zmysły. Błysnął jej nagle przed oczyma obraz prymitywnego koczowiska i ponuro wpatrujących się w nią zdziczałych neandertalczyków. Okrycia ze skór i maczugi? Nie, nie, nie. W jednej chwili się opanowała, tłumiąc emocje. Nie szykował się zbiorowy gwałt.

— Ruszcie się, durnie — surowo rozkazała, chcąc odwrócić uwagę od siebie. — Przecież w tych strojach nie możecie pokazać się w porcie. A ty? — wściekle przypięła się do studenta. — Co tak wlepiasz we mnie gały? Pilnuj steru, palancie!

Olbrom i Ran skryli się pod pokładem, by spełnić jej kapryśne życzenia. Erw natomiast poprzestał na tym, co miał na sobie. Nie zamierzał się przebierać. Zamarł w bezruchu, z ponurą miną lustrując wybrzeże. Myślami był daleko. Oczyma wyobraźni wrócił do 1979 roku, do pamiętnych chwil, w których to w jego paryskim mieszkaniu znaleźli się razem wszyscy wystąńcy z Bettarii. Czwórka przybyszy nie cieszyła się długo ze spotkania.

— Psiamac — mruknął z żalem.

Przeurocza Sylvie wykiwała go jak nieopierzonego małolata. Nie dotrzymała słowa, a dwoje swobodnie krążących oczu błyskawicznie uporało się z brudną robotą. Nim którykolwiek z przybyłych się zorientował, było już po akcji. Znaleźli się w ciemności, w ograniczonej niby-przestrzeni, pozbawieni wrażeń zewnętrznych i choćby śladowej możliwości manewru.

— Do kurwy nędzy, dwadzieścia lat! — warknął rozżalony, rozpamiętując tamtą porażkę. Stracili tyle ze swej misji, a przecież nie mogli na Ziemi siedzieć wiecznie.

Kiedy na białym jachcie o przewrotnej nazwie „Sylvie” uwolnił ich przestraszony chłopak, dobiegał końca dwudziesty wiek. W obiektywnym świecie minęło dwieście czterdzieści miesięcy. Neogeneranin obejrzał przemyślną butlę, w której ich sprytnie zatrzaśnięto. Była wykonana z jakiegoś nieznanego stopu, przypominającego zwykłe szkło, lecz zarazem posiadającego właściwości pancerza statku kosmicznego. Ich więzienie było małe, ale solidne. Gdy puścili więzy, jedna rzecz okazała się gwoli szczerości godna

odnotowania. Mogli się przekonać, że energia z Bettatarii znowu swobodnie płynie. Jakby byli po drugiej stronie pęknięcia.

Jacht powoli zbliżał się do portu. Podziwiali uroki lądu, który przesuwiał się przed ich oczyma. Wyspa przypominała raj, który Bóg w przypiływie dobrego humoru stworzył po to, by umieścić w nim spragnionych szczęścia wybrańców. Ci ostatni mieli jasnobrązowy kolor skóry. Urocze kryte palmą chatki, otoczone bujną tropikalną roślinnością, stały się z czasem schronieniem dla turystów. Chętnie odwiedzali to miejsce, nie przejmując się dystansem, dzielącym tę perłę Pacyfiku od innych stron globu. W pobliżu Papeete w latach sześćdziesiątym powstało lotnisko międzynarodowe. Faaa było oryginalnie usytuowane, a wznoszące się do góry samoloty wyglądały tak, jakby startowały z powierzchni morza i lądowały na jego gładkiej tafli.

Erw tkwił jak głaz na pokładzie i z ponurą uwagą śledził brzeg. Przyniósł z dołu lornetkę i nie odrywał jej od oczu. Nie zajmowali go surfingowcy, próbujący sił na płytkim morzu. Nie zwracał również uwagi na uśmiechnięte Polinezyjki, które przy dźwiękach ukelele obdarowywały schodzących po trapie turystów girlandami barwnych kwiatów. Wreszcie wyłowił wzrokiem osobę, której szukał.

— Jest, jest ta diablica — zapienił się nie na żarty. — Sakramencka lafirynda! Bezwstydna oszustka, spuszcza jej takie manto, że pożałuje...

Z dala trudno ją było rozpoznać, bo miejscowym zwyczajem owinęła się w wielobarwną chustę pareo i z gracją robiła za Tahitankę. Chyba wyczuła, że wyłowił ją wzrokiem, bo życzliwie pomachała ręką.

— Jaki anioleczek, co za przedobre dziecko, myślałby kto... — syknął z nieskrywaną ironią. — Nic z tego, oko za oko, ząb za ząb — nienawistnie zabulgotał, odkładając lornetkę.

Wydawało się, że zaciśnie pięść i pogrozi jej z oddali, ale tego nie zrobił. Z jego oczu można było wyczytać, że złości się na pokaz. Grał przed załogą jachtu rolę twardziela, bo uważał, że powinien się w nią wcielić. Cóż, Sylvie ośmieszyła go przed współbraćmi i wypadało mu pokazać, że potrafi się odplącić, a przynajmniej ściągnąć

jej cugle. Górowała nad nim, o czym się aż nadto dobrze przekonał, więc nie mógł przeciągać struny i nierozważnie zrażać jej do siebie.

Figlarny promień słońca igrał po twarzy Festy, natrętnie wdzierając się jej do oczu. Przeciągnęła się z błogą rozkoszą, a cienkie nakrycie z niej się zsunęło, odsłaniając kształtne piersi. Uchyliła powiek. Witła poranek w tropiku spragnionym pieszczoł nagim ciałem. Jednakże doskonale wiedziała, że póki co będzie musiała obejść się bez facetów. Miała na głowie rzeczy znacznie ważniejsze niż figle.

— Gdzie ja jestem? Aha, w Papeete — odkrywczo półszepnęła. A potem chmurnie się zastanowiła: — Ciekawe, dlaczego właśnie na tej wyspie? Po co ta podła wiedźma nas tu ściągnęła? I co będzie z nami robić?

Trochę senna podniosła się z szerokiego łóżka, zaś jej dotąd nieruchawe myśli się ożywiły. Założyła japonki, znieruchomiła i skoncentrowana wsłuchiwała się w ciszę, wewnętrznymi zmysłami taksując otaczającą ją przestrzeń.

Na wprost jej drzwi zaokrętowano Rana i Olbroma. Po uwolnieniu obaj byli dziwnie milczący i zadumani, a tym samym jakby nieobecni i nietrudno było zgadnąć, że nie mają ochoty, by szlajać się po dwudziestym wieku. Ta epoka ich nie pociągała. A teraz nie było ich w numerze. Podminowany Erw zajął przeznaczony dla nowożeńców apartament przy końcu korytarza. Gdy dotarli do hotelu, zarygłował się w nim z nieznośną amazonką z przyszłości. Ta upierdliwa para okazała się niezdolna do miłej salonowej konwersacji. Żarli się ze sobą dobre pół godziny, obrzucając się karczemnymi wyzwiskami i wywołując niejaki popłoch wśród części gości hotelowych. Potem zapadła cisza jak nożem uciął, więc łatwo się było domyśleć, czym się skończyła ta bezprzykładna kłótnia małżeńska. Nikt się nie skarżył, nikt też nie miał do nich pretensji o to, że się pienili — wiadomo, świeżo poślubionym wybaczało się ogniste fajerwerki. Jak świat światem wszyscy wiedzieli, że młodzi muszą się wyszaleć i dotrzeć.

— Witajcie na Ziemi — ironicznie rzekła do siebie Festa, za-

glądając w lustro w płaszczu kąpielowym i z wdziękiem dygając przed swym odbiciem jak dworska dama przed królem Ludwikiem na korytarzach pałacu. „Witajcie?!” Tak właśnie brzmiały pierwsze słowa niewinnie wyglądającej Francuzki, która oczekiwała na przybyszy z Bettarii u nadbrzeży w porcie, stuprocentowo pewna, że tam się pojawią. A dokąd mieliby się udać jej jachtem? — Bezczelna suka, szlag by to trafił! — syknęła jak zmija, gdy sobie uprzytomniła, co się stało. Uległy wobec laski z przyszłości Erw załatwiłbettariańską ekipę na amen. Sylvie miała nad nimi druzgoczącą strategiczną przewagę, więc mogła śmiać im się w nos. Owinęła ich wokół palca i biedacy byli zdani na jej łaskę i niełaskę. — Ziemskie facetki! — westchnęła. Tamta słodziutka studentka mimowolnie przywołała neogenerance przed oczy kokoty z jej paryskiego domu schadzek. „Ta sama podła natura... — pomyślała. — Tylko jak taką lafiryndę ujarzmić i utrzymać na uwięzi?” Zamknęła się w łazience, puściła wodę i zadumała się nad swoimi wychowanicami. Udało jej się je ułożyć, a nawet z nimi zaprzyjaźnić. Nie musiała ich wściekle tresować jak to czyniono ze zwierzętami, ani silić się na mentalną obróbkę tego, co miały w głowach. No, może trochę... Niestety, była teraz oddalona od Paryża czasów monarchii historycznie i geograficznie.

— Ech, Helena — rzekła z rozmarzeniem. — I Maria, i Anna, i Stefania, i Konstancja — z rozmarzeniem przywołała imiona ślicznych ładacznic.

Odrobinę się stęskniła za nimi, brakowało jej ich towarzystwa, ale nie mogła rzucić wszystkiego i do nich wrócić. Wyspę zewsząd oblewał ocean. Tahiti tworzyła maleńki kontrapunkt na jego olbrzymiej błękitnej powierzchni. Tu, w Polinezji Francuskiej, miały się rozegrać kolejne partie idiotycznego meczu między przybyszami z Bettarii a niby-tubylcami z Ziemi. Jaki wynik się zapowiadał? Tego nie umiała odgadnąć. Coś jej jednak mówiło, że powinna z uwagą trzymać rękę na pulsie. Erw już dawno stracił głowę i nie można było na niego liczyć, ona — nie.

Łysawy Polinezyjczyk z obsługi, który zastukał do jej drzwi, klarownym francuskim powiadomił ją, że monsieur Yves i madame Sylvie czekają na nią w restauracji. Odziała się więc i zeszła na ta-

ras.

Pogodzeni ze sobą niby-małżonkowie siedzieli przy stoliku pod kolorowym parasolem. Stwarzali wrażenie bez pamięci zakochanych i chyba nie udawali afektu. Opanowana Festa spokojnie zajęła wolne krzesło i badawczym wzrokiem obrzuciła ich twarze. Wyrosły za jej plecami kelner uprzejmie podał jej kartę dań. Jej uniesione wysoko brwi mówiły same za siebie, więc Erw zabrał się w popłochu do nieskładnych wyjaśnień, nie czekając na wyraźniejsze zaproszenie.

Nerwowo pogładził dłonią policzek.

— Och, to wcale nie tak, jak sądzisz, droga przyjaciółko — zapiał jak kogut, niespokojnie zezując na Sylvie i zasypując Festę tyradą słów: — Jestem zdania, że za surowo ich oceniasz, chociaż nie można ci odmówić do tego prawa. Pretensje i anse! Widzisz, rzecz w tym, że nie ominęły ich kłopoty, mimo iż trudno w to uwierzyć. Oberwaliśmy, co prawda, oni zaś jacy są, tacy są, ale nie można ich posądzać o złe intencje. Nic ze złej woli. To nie my, lecz oni wpadli w potrzask. Musieli się zmierzyć z jakimś piramidalnym wyzwaniem. Podobno nie było łatwo mu sprostać... — pytająco zwrócił się w stronę Sylvie, a dziewczyna skwapliwie przytaknęła, poprawiając sobie włosy.

Festa zachowała kamienną twarz. Erw nie miał żadnej linii obrony. „Podobno, wpadli, kłopoty!..” Musieli nieźle szaleć w nocy, bo na jej prawym ramieniu neogeneranin pozostawił wizytówkę w postaci śladów swoich zębów. Mogła ją zasłonić, wkładając bluzkę z rękawkami, ale pewnie rozmyślnie tego nie uczyniła. Brak taktu? Dużo lepiej prezentowałyby się w tym miejscu — dumiała — niewielki ale udany tatuaż. Te cieszyły się popularnością na Tahiti. Nanoszono na skórę charakterystyczne wzory polinezyjskie, a także podobizny zwierząt i kwiatów. Mało która Tahitanka nie miała na sobie takiej tradycyjnej ozdoby, co zauważyła już poprzedniego dnia w porcie.

Sylvie podjęła pałeczkę, odważnie zaglądając w chłodne oczy Festy.

— Faktycznie, doszło do czegoś, do czego nie powinno było dojść, niestety. I to nie myśmy namotali — rzekła z lekką konsternacją.

nacją w głosie i ciężko westchnęła. — Muszę was przeprosić, ciebie a także Olbroma i Rana, za to, co przydarzyło się wam w Paryżu w 1979 roku. Moim zadaniem było schwytanie awanturczego seaurausa i wyrzucenie go do jego wymiaru — odkaszlnęła, jakby nie do końca przekonana, że tamta przyjmie jej słowa za dobrą monetę. — Poza tym, czy raczej przy tej okazji, miałam nawiązać kontakt z wami...

To ostatnie zabrzmiało bardziej wiarygodnie. Kontakt?! Festa powściągliwie przytaknęła, ale nadal nie miała zachęcającej miny. Sięgnęła po leżące w koszu na stoliku owoce, decydując się na mango, lecz potem zrezygnowała z degustacji. Zbliżył się kelner. Tamtej dwójce przyniósł marynowaną w soku cytrynowym surową rybę, oblaną mlekiem kokosowym.

Południowiec był przystojny i młody, więc nie byłyby sobą, gdyby po kobiecemu go nie otaksowała. Z zainteresowaniem śledziła wykonywane przez niego czynności, skupiając uwagę na jego dłoniach i palcach.

— Apetycznie to wygląda — miauknęła, podziwiając podane danie.

— Tak więc się okazało — niespiesznie ciągnęła Sylvie, również skupiając wzrok na wprawnych i szybkich rękach chłopaka — że to nie był seauraus, chociaż swoją taktyką go przypominał. Sieć omal nie pękła. Opór był silny, zdradzając, że ten stwór dysponuje ogromną ilością energii. Musiałam więc was wyizolować, by sobie z tym poradzić — kłamiwie snuła przerwany wątek, niby to relację z safari. — Nie miałam innego wyjścia...

— Innymi słowy — z patosem dorzucił Erw, znów się do niej zwracając — zdecydowałaś się nas osłonić, wyprowadzając z pola bitwy na bezpieczne zaplecze.

Ziemiańska badała widelcem rybę. Gdyby ją zamówiła poza hotelem, pewnie jadłaby ją palcami, jak przystało na Tahiti. Neogeneranka na boku zerknęła do menu i doszła do wniosku, że aby ich przebić, musiałyby się połakomić na stek jagnięcy w sosie z awokado. Jednak z samego rana nie wypadało się przejadać. A poza tym nie miała ochoty na tanie popisy.

— Można tak powiedzieć — tamta odrzekła z porcją ryby

w ustach. — Przeniosłam was w czasie o dwadzieścia lat. I pomogli mi w tym moi rodacy z przeszłości...

Z oczu Festy nie znikwały dziwne błyski. Nie wierzyła ani jednemu słowu i nie umiała tego ukryć. Erw dostrzegł to, bo natychmiast asekuracyjnie dorzucił:

— Chodzi ci o dowody? Czemu nie? Wkrótce je sobie obejrzymy. Sylvie zaproponowała nam bowiem wspólną podróż. Najpierw udamy się tam, gdzie są złożone fizyczne resztki bestii. To znaczy — do Europy. Potem zaś ruszymy w przyszłe stulecia dziejów Ziemi.

Niespodziewanie przerwano im rozmowę. Ruchliwy Polinezyjczyk z małą walizeczką w ręku zręcznie przeskoczył przez barierkę, bezceremonialnie wdzierając się na taras hotelowy. Przyciągnął uwagę siedzących. Z kuchennego zaplecza nerwowo wypadł kelner.

— Kto to?! — podminowana Festaomal się nie podniosła.

— Pomalutku, bez nerwów, to tylko uliczny handlarz — uspokoiła ją Francuzka.

Przybyłym nie kierowały złe intencje. Otworzył walizeczkę. Miał na sprzedaż naszyjniki z pereł oraz artystyczne wytwory miejscowego rzemiosła. Kelner złapał go za kołnierz i zamierzał go wyrzucić, jednakże Sylvie powstrzymała krewkiego młokosa. Przywołała do stolika niefortunnego sprzedawcę, wykonując zachęcający ruch ręką. Festa bez pośpiechu przyjrzała się kolekcji, a potem wzięła do ręki jeden ze sznurów, dziwiąc się niecodziennej barwie.

Dziewczyna Yvesa pospieszyła z wyjaśnieniem.

— Czarne perły są chlubą wyspy. To jedna z ciekawostek tego regionu geograficznego — usłużnie odpowiedziała. — Nabywają je turyści, którzy spędzają tu wakacje. Biorą je na pamiątkę. No i chętnie noszą je Tahitanki.

Festę to zaciekawiło.

— Chyba zdecyduję się na jeden sznur — rzekła po chwili namysłu, podnosząc naszyjnik do oczu.

Jej króciutka luźna sukienka zsunęła się na piasek, odsłaniając zgrabną i wysportowaną figurę. Miała na sobie błękitne bikini, zdo-

bione ukośną różową wstawką.

— Popływamy? — zachęcająco krzyknęła do Rana. Studentka Sorbony była o głowę wyższa od jego rzymskiej przyjaciółki z czasów Nerona. Znalazła neogeneranina nad zatoką.

Z uporem pokręcił głową. Nie miał zamiaru opuszczać wybranego skrawka żółtej plaży. Gdyby zaproponowała mu pletwonurkowanie, to być może dałby się skusić. Jednak nie miała na jachcie odpowiedniego sprzętu.

Zeszła mu z oczu, a on wyciągnął się z rozkoszą, wystawiając plecy do gorącego słońca i przymykając powieki. Po udanych popisach z deską surfingową wybrał się z Olbromem na krótką wyprawę w głąb górzystej wyspy. Wyszli na obwodnicę, stamtąd kierując się w stronę szczytu Oroheny. Udało im się dotrzeć do nieodległego od Papeete dzikiego zakątka. Ledwo znacząca się ścieżka zawiodła ich do stromego jaru, którego dnem płynął strumień ze słodką wodą. Brzegi tworzyły skalne płaszczyzny o ostrych grzbietach i równomiernie nakładających się na siebie raz jasnych, raz ciemnych warstwach geologicznych. Zatrzymali się w kotlinie, nie decydując się iść dalej, gdyż roilo się od pszczoł, os, ważek i motyli.

Tam mogli spokojnie pogawędzić, pewni tego, że nikt obcy ich nie podsłucha. Nie przeszkodził im nawet pyton, który sunął po wiszących w dół mokrych konarach tkwiącego korzeniami w strumieniu drzewa. Gad szeroko rozwarł pysk, pokazując czarny ozór i zęby niczym haczyki, a potem schronił się w ciemnej dziupli. Nie musieli długo rajcować, by znaleźć wspólny język w nurtujących ich kwestiach.

Minęło dziesięć, a może piętnaście minut. Sylvie znowu się pojawiła. Stała nad nim, ociekając wodą, a Ran, chcąc nie chcąc, musiał unieść oczy do góry. Radośnie chichotała. Dobrze czuła się na Tahiti. Gdy tak na nią patrzył, przyszło mu na myśl, że stworzona przez Polinezyjczyków cywilizacja jest jednym z dowodów na to, iż gatunek *Homo sapiens* najpełniej wyraża się w próżniactwie.

— Jesteś pewny, że nie chcesz się ze mną zmierzyć? — pokazała palcem kiwającą się na morzu boję. — No, zdecyduj się, rusz tyłek. Spróbuj, cóż to dla ciebie! — rzuciła jak do smarkatego kumpla. — Popłynemy tam i z powrotem. I okaże się, kto jest lepszy.

Skrzywił się z niesmakiem. Nie miał ochoty na żarty i nie zno-
sił, gdy ktoś na niego naciskał i próbował nim manipulować. Był już
na to za stary.

Uniósł się na łokciu. Wkurzył się. Miał gdzieś dobre maniery.

— Wypchaj się, do jasnej cholery — zachnął się, wyprowadzo-
ny z równowagi. — Nie potrafisz przez kilka minut spokojnie usie-
dzieć?

Zrozumiała, że przeholowała, zasznurowała usta i pokornie
opadła na pozostawiony w tym miejscu ręcznik kąpielowy. Wcale
nie była taka pewna siebie. Zajęła się wyciskaniem wody z włosów,
a potem pochyliła się po grzebień i szczotkę.

— Ten chłopak z jachtu ma z tobą coś wspólnego? — zapytał,
chcąc dojść z nią do ładu.

— Skądże znowu — skwapliwie odrzekła. — To przypadkowa
znajomość z tych czasów. Wyszorowałam mu pamięć, więc nie wie,
że was spotkał. I że wypłynął wczoraj moją łodzią.

Ran chwilę milczał, a na jego ponurej twarzy nadal znaczyły
się chmury.

— Nie chcemy udawać się w przyszłość — grobowym głosem
oznajmił, krzyżując jej plany. — Ani ja, ani Olbrom. To dla nas
strata czasu — wycedził z naciskiem. — Zrobimy, co do nas należy,
a potem wyniesiemy się z tej planety. Nie mamy zamiaru do nicze-
go się wtrącać ani za nikogo nadstawiać karku.

— Nie chcecie nam pomóc? — zatrzepotała rzęsami. — Ani
trochę, ani na jotę?

Obojętnie wzruszył ramionami i nabrał ręką piasku, który jak
w klepsydrze przesypał mu się między palcami.

— Erw pójdzie za tobą w ogień — pogodził się już z tą myślą.
— Festa pewnie też — dodał. — I to powinno ci wystarczyć. Od nas
dwóch się odchrzań!

Nie odezwała się, a on również uznał tę krótką wymianę zdań
za wystarczającą. Z ulgą odetchnął, odwrócił się bez słowa i znowu
się wygodnie wyciągnął, wystawiając ramiona do słońca.

Ogarnęła się, pociągnęła nosem i usiadła w kucki obok niego,
wpatrując się w dal.

— Przynieść ci coś do picia? — ciepło zapytała po niejakiem

czasie. — Wodę mineralną lub sok pomarańczowy?

— Do picia? — odmrugnął. — Po co? Nie muszę w ogóle pić. Daj sobie z tym spokój!

Ponownie zapadło milczenie.

— Masz tam kogoś w czasach Nerona? — nie dawała mu pograżyć się w nurtujących go myślach. Przypięła się do niego jak rzep do psiego ogona.

Uniósł się na łokciach.

— Mam — odrzekł po chwili wahania. — Przyjaciółkę. I co z tego? — warknął.

Nie skomentowała tego wyznania, więc znowu opadł nosem na piasek. Już prawie zapomniał o jej obecności, gdy raptem przerwała mu medytacje.

— Wiesz, co? — rzekła urażona. — Pójdę poopalać się na jacht. Tam jest dużo przyjemniej. Z dala od chamów...

Poderwał się i zerknął na nią, nie kryjąc zaskoczenia.

— Tak bardzo cię uraziłem? Przepraszam!

Stała już gotowa do odejścia. Torbę zarzuciła na ramię, ale nie zamierzała iść sama.

— Nie ma sprawy — odrzekła. — Inny nie będziesz.

— Oki, pójdę z tobą — zdecydował się, przeczuwając, że się od niej nie uwolni. Erw udał się do biblioteki, by przejrzeć czasopiśma z ostatnich dwudziestu lat. Pojął, że będzie mieć ją na karku do jego powrotu.

— Tak? — trochę się zdziwiła. — Świetnie! Może mnie jednak polubisz?

— Jasne — ironicznie zachrypiał. — Od ręki...